

Jest to wspomnienie mojej żony o "Gromadzie - Rolniku Polskim", najbardziej popularnej na wsi gazecie późnego PRL.

Halina Flis - Kuczyńska.

PRYZWOITA GAZETA NIEPRYZWOITEGO CZASU

Od dziennikarstwa w "Gromadzie-Rolniku Polskim" odeszłam dawno i daleko. Pracując dziś dla organizacji gospodarczej z regionu Bretanii, najbardziej rolniczego regionu Francji, czasem muszę organizować konferencje prasowe. Tak spotkałam na nowo paru dawnych kolegów, dziennikarzy z GRP. I powróciły wspomnienia.

Właściwie ta gazeta towarzyszyła mi od zawsze. Oto wczesne lata powojenne. Nie chodzę jeszcze do szkoły , ale umiem czytać. W domu stale abonowano gazety, nawet w latach kryzysu z lat trzydziestych , choć wtedy kupowano jedną na spółkę z kilkoma sąsiadami. Kiedy po wojnie kolejno pojawiły się Rolnik Polski i późniejsza Gromada, oba dzienniki znalazły się u nas i dostarczały nam, dzieciom, uciechy z zamieszczanych krótkich historyjek obrazkowych, przodków dzisiejszych komiksów.

Zresztą ludzie żyli wtedy radością z końca wojny i powrotów z niewoli lub prac przymusowych. Garnięto się do siebie , wiele rzeczy robiono wspólnie : remontowano zrujnowane domy, śpiewano majowe nabożeństwa, urządzano wieczornice. To był wyjątkowy czas. Jedynie w okresie Solidarności, o wiele lat później, na krótko wróciły podobne nastroje wspólnoty. Tak, pierwsze moje wspomnienia o Rolniku Polskim i o

Gromadzie kojarzą się z radością.

Rodzice chronili nas przed wiadomościami politycznymi . Likwidację lubianego przez naszą Mamę Rolnika Polskiego, z jego tradycjami i z ewangelią w niedzielnym wydaniu , zrobioną przez połączenie z Gromadą, przyjęliśmy jako rzecz zwyczajną; ot , połączyły się dwie gazety. Gromada – Rolnik Polski nadal była w naszym domu, od pierwszego numeru po śmierć Rodziców.

W rzeczach domowych, drobnych , gazeta ta była wielka. Pamiętano w niej o sprawach ludzi starych , chorych , o potrzebach rodziny , o problemach kobiet i dzieci, o wiejskich uczniach , oddalonych od dobrych bibliotek , obciążonych pracą. Drukowano powieści w kilkunastostronicowych odcinkach – z powieściowych wkładek powstawały ręcznie oprawiane książki, też według wskazówek gazety. Do dziś na strychu mojej siostry rolniczki leży jeden z takich powieściowych zeszytów.

Do tej GRP pisywałam pierwsze listy , nieśmiało odpowiedzi na zachęty do opisywania marzeń dzieci wiejskich. Jako licealistka brałam udział w licznych konkursach gazety , tam wygrałam pierwszy komplet kosmetyczny , jeszcze w ebonitowych, a nie plastikowych opakowaniach. W końcu lat pięćdziesiątych komplet mydło, pasta, szczoteczka w jednolitej oprawce, to był luksus. Na co dzień kupowało się tanie mydło i torebkę proszku do zębów. Dziś też nie jesteśmy krajem zamożnym, ale dobre mydła i pasty są w każdym sklepie.

Ważniejszą wygraną było zaproszenie do Warszawy i wizyta w

redakcji. Zwiedzanie Warszawy było zorganizowane przez ówczesną dziennikarkę , a dziś pisarkę, Kazimierę Kijowską , a w redakcji rozmawiała z nami , tuzinem piszących nastolatków, redaktor naczelna , Irena Groszowa. Ta sama , która dzięki twardemu charakterowi i mocnej pozycji we władzach uchroniła GRP przed wypisywaniem obrzydliwości , jakie w 1968 roku masowo produkowały inne gazety. Z kolejnymi redaktorami naczelnymi było już tylko gorzej.

Naturalnym biegiem rzeczy , gdy dostałam się na studia w Warszawie, w tej gazecie pisałam pierwsze artykuły i tu znalazłam zatrudnienie po studiach.

Mogłam zobaczyć wtedy z bliska , jaką pracę trzeba było wykonać, aby gazeta mogła być tak ciekawa , i jakim ograniczeniom była poddawana , nie tylko w sprawach publicznych , ale i tych najdrobniejszych , wynikających z samego życia.

Pamiętam , jak Magda Arska, pisująca o zdrowiu , wróciła przejęta z komisji badającej poborowych , wiejskich chłopców. Opowiadała, jak wielu było drobnych, źle odżywionych, z nie leczonymi wadami postawy, niedosłuchem, krótkowzrocznością. Byłam akurat na dyżurze w drukarni, kiedy szedł jej tekst. Cenzura chciała go wyrzucić w całości. Redaktor Jóźwiak, zastępca redaktora naczelnego i Janusz Zwierzchowski , sekretarz redakcji , delikatnie pertraktowali, szukając kompromisu. Tekst po mocnym okrojeniu poszedł, ale cenzor, dyktując ostateczne skreślenia, pinił się, żeby to było ostatni raz , nie będzie gazeta o wojsku ludowym pisała, jak to do niego idą ślepi, głusi i garbaci !

Zdarzało się, że z obawy przed cenzurą sami okrawaliśmy teksty. Poproszono raz gazetę o pomoc ze wsi , w której panoszyli się jacyś partyjniacy i ormowcy . Pojechałyśmy we dwie z Janką Nadolską, bo temat był delikatny i na takie nie jeździło się w pojedynkę. Dzielni wobec sąsiadów ormowcy na widok redakcyjnego samochodu zalegli w kartoflach – kobiety pokazały nam miejsce, gdzie z redlin ziemniaczanych sterczały jedynie dwa wypięte tyłki. Do dziś pamiętam nazwiska tych dwu: Komsta Ryszard i Hipol Ogórek. Coś tam tej wsi pomogłyśmy , ale artykuł w obawie przed cenzurą napisałyśmy cienki.

Cięższy grzech, za który , jeżeli kary pośmiertne istnieją , będę musiała odpokutować , popełniłam przy sprawie zagarnięcia ziemi rolnikowi z regionu płockiego , o nazwisku Czerwiński. Była za ostatnich lat Gierka taka fala kolektywizacji w formie przejmowania ziemi chłopskiej i

tworzenia gospodarstw kółek rolniczych , jeszcze bardziej marnotrawnych , niż PGR. Jeżeli w gminie brakowało wolnej ziemi , bo za renty oddano jej za mało, zabierano ziemię rolnikom starszym i samotnym , pod pretekstem , że źle gospodarują, albo są „nierozwojowi” . Rolnik ,o którym mowa, miał lat siedemdziesiąt, ale gospodarstwo utrzymywał wzorowo. Ziemię zabrano mu przemocą, na broniącego jej gospodarza naślano milicję, pobito go do krwi .

Napisałyśmy o tym z Hanką Skrobiszewską , prawniczką, specjalistką od rent ,emerytur i przejmowania ziemi. Odpowiedzi od opisanych urzędów , winnych tej krzywdy, dostałyśmy nijakie, interweniowałyśmy powtórnie, ale zdaje się, że z marnym skutkiem. Trzeba było pojechać i napisać drugi raz , a myśmy tego nie zrobiły. Nie wiem do dziś, dlaczego, bo zamierzałyśmy to zrobić, czy przeszkoda była w nas, czy po stronie redakcji, czy to już przepisy trochę się zmieniły na korzyść rolników . Ten człowiek nadal staje mi przed oczami i sumienie mi mówi , że źle się stało.

Myślę, że wielu z nas miało podobne zawodowe porażki. Ci , którzy odważyli się na coś więcej, byli przywoływani do porządku szybko i brutalnie – jak Alina Błocka i Ryszard Cuber. Opisał to w swoim wspomnieniu Ryszard , więc nie ma potrzeby opowiadać historii drugi raz.

Ale nadszedł rok osiemdziesiąty. Strajki w stoczniach. Podpisanie porozumień szczecińskich i gdańskich . Nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy , jaka lawina zmian ruszyła , co się stanie w przyszłości , ale mieliśmy nadzieję ,że teraz w całym kraju będzie prawdziwiej i szczerzej .

Niecały tydzień potem okazało się ,że władze interpretują

porozumienie gdańskie jako drobną sprawę regionalną. O realne swobody trzeba było dopiero wojować. Rozpoczęła się lawina protestów i rezolucji kierowanych do władz.

Byliśmy skromną, spokojną redakcją i zapewne trudno by nam było wysuwać się do pierwszych linii wojujących z władzami. Jednak gorliwość redakcyjnej organizacji partyjnej w uspokajaniu nastrojów zmusiła nas do odezwania się i do działania.

Było to dwunastego czy trzynastego września. Rano na korytarzu czekały na mnie sprzątaczkę, starsze panie pamiętające początki redakcji. To one opowiadały nam, jak po wojnie przychodzili do pracy w prasie zasłużeni partyjni półanalfabeci, co w niej robili i jak traktowali niższy personel. Widziały październik i rok siedemdziesiąty. Lubiliśmy je i szanowali, a one nas. Ostrzegły więc, że coś się dzieje za naszymi plecami.

Byłam wtedy w radzie zakładowej gazety, bo od paru lat próbowaliśmy polepszyć trochę warunki naszej pracy. GRP zawsze przynosiła wydawnictwu zyski, ale że miała opinię gazety uparcie nieco mniej pokornej niż inne, nie była pieszczona i hołubiona. Zarabialiśmy skromnie. Urządzenie i wyposażenie redakcji dobre było na lata powojenne, w latach siedemdziesiątych raziło nawet odwiedzających nas czytelników, nieczęsto przecież zamożnych. Zmobilizowaliśmy naszą radę zakładową i wycisnęliśmy z wydawnictwa remont pomieszczeń i nowe meble. Z racji tych związkowych funkcji uczestniczyliśmy w zebraniach

kolegium redakcyjnego i oficjalnie nic się nie działo bez naszej wiedzy .Co nie oznaczało, że bez naszej zgody . My, dziennikarze, formalnie członkowie spółdzielni, aż takich praw nie mieliśmy, jako że nasz wydawca, Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza, nie była ani spółdzielnią, ani tym bardziej robotniczą.

Więc tego dnia panie sprzątające zapytały, czemu to odbywa się jakieś tajne zebranie pod przewodnictwem szefa organizacji partyjnej . Zaraz tam poszłam. Tadek Frelek , wtedy chyba on był szefem organizacji partyjnej w gazecie, wytłumaczył mi , że to dla dobra gazety szybko postanowiono , że my , jako redakcja, żadnych wolnych związków zawodowych popierać nie powinniśmy , ani żadnych rezolucji nie będziemy wysyłać.

To tak miały wyglądać porozumienia? Tak miano ich zamiar przestrzegać?

Nie mogliśmy milczeć, za dużo w naszym życiu było milczenia i pół przemilczeń. Poparliśmy tworzenie niezależnych związków zawodowych i sami w kilka dni później , 17 września, założyliśmy koło Solidarności.

O ile wiem , było to pierwsze w kraju koło Solidarności w redakcjach gazetowych.

W parę dni później przybiegli do nas koledzy z Chłopskiej Drogi. Jak się zakłada koło Solidarności? Bo słyszeliśmy , żeście założyli? Nasz naczelny, Róg Świostek, wezwał Elę Eysymont , przewodniczącą rady zakładowej i powiedział: Pani Elu kochana, czy pani wie, co oni w

Gromadzie zrobili temu Włodkowi Chećce? Założyli koło Solidarności! Mam nadzieję ,że u nas nic takiego się nie zdarzy. Chyba bym się wtedy musiał podać do dymisji...

Nie myśleliśmy wtedy o redaktorze Chećce . O poważniejsze sprawy nam chodziło.

Przewodniczącym koła Solidarności w GRP został dziennikarz poważny i rozważny , Tadeusz Tomkiewicz.

Tworzyli je m.in. Marysia Terlikowska, Teresa Chabowska, Włodek Łyś, Henryk Zimmer , Basia Łaskiewicz.

Byliśmy poważni i staraliśmy się być rozważni , na początku i wtedy , kiedy kołem kierowałam ja. Niewiele to jednak pomogło. Traktowano nas jak wrzód na zdrowym ciele klasy dziennikarskiej. Od czasu założenia Solidarności niczego już dla redakcji nie mogliśmy zrobić. Z nami nie rozmawiano: z nami walczoneo.

W czasie stanu wojennego , w trakcie weryfikacji, wykoszono nas jak polną łąkę. Tych sześcioro wymieniam , bo wszyscy już nie żyją i wspomnień napisać nie mogą. Inni, których też w stanie wojennym powypędzano z redakcji, albo ukarano w inny sposób, żyją, niekiedy pracują w prasie, choć w innych redakcjach, niektórzy tu zamieścili swoje wspomnienia.

Więc parę słów o nieżyjących najbliższych:

Marysia Terlikowska. Malutka i drobna, o żywym temperamencie i charakterze. Poetka, pisarka, twórczyni bajek dla dzieci , m.in. postaci

Gąski Balbinki. Poliglotka. Kiedy przyszłam do redakcji, zazdrościłam jej czytania w oryginale powieści Agaty Christie i francuskiego tygodnika Paris Match, z którego wybierała smakowite ciekawostki dla naszych czytelników i zamieszczała je w niedzielnych wydaniach gazety. To dzięki jej kącikowi poezji i starannemu przenoszeniu na strony GRP nowin z dalekiego świata gazeta pozostając wiejska nie była prowincjonalna.

Władysław Łyś. Pod koniec roku 80-go, kiedy Rosjanie weszli do Afganistanu, wstrząśnięty, przewidywał nadchodzącą i do nas grozę. Miał dostatecznie złe doświadczenia wojenne i z czasów zaprowadzania powojennych porządków, aby się łudzić co do finału naszej budzącej się wolności. Nie dożył Trzeciej Rzeczypospolitej.

Henryk Zimmer. Archiwista o ogromnej wiedzy. Otoczony książkami i kilkunastoma gazetami, rozpatrywał dzieje Polski, starając się, aby dać do gazety wspomnienia o najciekawszych ludziach z naszej przeszłości i o ważnych historycznych wydarzeniach. To z nim cichutko, pół ukradkiem jeździliśmy w 50 lecie Cudu nad Wisłą na cmentarz polskich żołnierzy poległych w obronie Warszawy w 1920 roku w wojnie z bolszewikami. To on przypominał: pamięć jest ważna. Trzeba starać się dużo wiedzieć, i dużo pamiętać. Staram się, Henryku.

Teresa Chabowska. Świetnie, choć niewiele pisząca wychowanka pensji i liceum sióstr Nazaretanek. Pieknie inteligentna, typ artystycznej bohemy. Przyjaźniła się przez wiele lat z poetą Mironem Białoszewskim. Na jego oczach rozgrywały się dramatyczne miłości jej życia, we

wspomnieniach tego poety zresztą zapisane. Dzielił nas wiek , ale zbliżyła mocną przyjaźnią emigracja w Paryżu. Spotykałyśmy tam innego redakcyjnego kolegę, Edwarda Sternika z działu listów , który , bardzo już chory, przeniósł się z Warszawy do francuskiego domu swojego zięcia-filmowca i tam wkrótce zmarł.

Emigranci nie miewają dużo czasu ani pieniędzy na rozkoszowanie się urokami wielkich miast, ale starałyśmy się bywać z Teresą na najlepszych wystawach w paryskich galeriach i brać udział w życiu polskiej emigracji. Pamiętam przyjęcia wydawane przez nią w jej paryskim „mieszkanu”, sześciometrowym pokoiku dla służby (Chambre de bonne – to po francusku pokoik dla bony. Ma rząd takich klitek na poddaszu każda stara paryska kamienica, a w każdej klitce albo student , albo emigrant , albo artysta. Świat paryskich chambre de bonów to odrębny świat ,ale nie o tym tu dzisiaj mowa.) Więc w tej klitce siadaliśmy ściśnięci na polówce Teresy , jedząc jej wspaniałe śledzie robione na polski sposób , pod śmietanową pierzynką, popijając wódeczkę i zaciekle dyskutując o Polsce i o Sprawie. Mieściło się nas tam niekiedy po dziewięć osób, nie wiem, jakim sposobem, pewnie siłą ducha. Teresa robiła coś dla paryskiego Kontaktu , ja – biuletyn „Polish Agriculture” , do którego zdjęć z Polski dostarczał m.in. redakcyjny fotograf na emeryturze, Jerzy Dunin. Pisywałam do Wolnej Europy, do Radio France Internationale, pomagałam z daleka, na ile mogłam, Solidarności Rolników Indywidualnych.

Teresa zmarła szybko po przejściu na emeryturę, tuż po powrocie do

Polski. Są tacy ludzie, którzy żyją tylko w biegu , a kiedy nadchodzi odpoczynek , bezczynność przywołuje ukryte w nich choroby i szybko zabija.

Najdłuższy tekst ,jaki po niej pozostał, to piękne wspomnienie o Mironie Białoszewskim do księgi pośmiertnej, wymyślonej przez grono Teatru Osobnego , teatru paru przyjaciół , przez wiele lat w kolejnych mieszkaniach poety i pod jego kierownictwem dającego przedstawienia według Norwida, Witkacego i samego Mirona. Bywali tam i wielcy artyści i skromni studenci , przycupnięci na stosie palt w przedpokoju . Wśród nich ja. Z tych teatralnych fascynacji urodził się pomysł na cykl informacji , ilustrowanych fotosami, o programach większości objazdowych polskich teatrów. Pisywałam je , aby czytelnik GRP siedząc w domu mógł przeczytać, z czym w tym miesiącu występuje w objeździe jego teatr, i albo posłać uczące się dzieci, albo i samemu do teatru zajrzeć. Gazeta chętnie użyczała miejsca na informacje o teatralnych przedstawieniach, choć dla produkcji rolnej nie były one najważniejsze. Ale taka to już była gazeta i dlatego byliśmy do niej przywiązani.

Ostatnia moja przygoda z GRP, to konkurs na stanowisko redaktora naczelnego po powrocie z emigracji. Nie wygrałam go, przeciwko mnie stanęła jakaś przedstawicielka SDP, która moich tekstów na oczy nie widziała, nowy właściciel gazety, król pierogów, któremu otwarta gazeta na nic nie była potrzebna, bo jemu chodziło o pieniądze, wreszcie większość przetrzebionego w czasie weryfikacji zespołu, a szczególnie jedna, ładna

wtedy, dziewczyna, reprezentująca załogę w czasie konkursu. Wydawało mi się, że przegraną przyjąłam spokojnie, ale mój organizm zbuntował się: dosyć tych stresów ! Uspokój się, kobieto, i trzymaj z daleka od GRP! Znalazłam się w szpitalu, a kiedy z niego wyszłam, pozwalam sobie na sentyment do GRP z bezpiecznej odległości innego zawodu. Żyję, i mogłam napisać te kilka słów o tych, którzy odeszli. Oni wspominają GRP z bardzo wielkiej oddali, w której kiedyś się wszyscy spotkamy. Bardzo to będzie ciekawe spotkanie.